W poszukiwaniu nadziei

Menders

PROLOG

Budzę się jak zwykle zrywając się z łóżka, Skąd wiem, że to był sen? Bo byłam w nim szczęśliwa. Nie bałam się. Nie uciekałam. Po prostu żyłam. Teraz budzą mnie jak co dzień przenikające przez okna promienie słoneczne i krzyki. Słyszę jak moja matka znów kłóci się z ojczymem. Żadna nowość. Mogę się założyć, że poszło o to co zawsze. Simon wrócił nad ranem. Był w barze. Wciąż nie znalazł pracy. Śmierdział alkoholem i papierosami. Zataczając się wszedł do kuchni. Mama przywitała go wrzaskami już na schodach. Zaczęli się kłócić. Czekałam, za 5, 4, 3, 2… usłyszałam brzęk tłuczonego szkła. Dziennie pozbywaliśmy się średnio trzech szklanek, czasami kilku talerzy, czasami jednak pod ręką znajdował się wazon, wtedy zwykle widziałam Simona z ciętą raną, z której sączyła się krew. Mama zazwyczaj po awanturze wychodziła bez szwanku. Czasami jednak zdarzyło się, że widziałam u niej parę siniaków. Nie komentowałam tego. Nie komentowałam niczego co działo się w moim domu. W sumie to rzadko kiedy się odzywałam. Czasami w szkole, gdy zostałam wybrana do odpowiedzi.

Jestem Hope. Mam 16 lat. Nie piję, nie palę, nie wagaruję, nie sprawiam kłopotów. Żyję z dnia na dzień. Każda pobudka przynosi to samo. Określony schemat. Jestem typem dziwaka. Słucham muzyki klasycznej, nie mam bliższych znajomych, jeśli chodzi o szkołę, lubię zajęcia z rysunku i malowania, czasami też coś piszę, uczę się przeciętnie, tak, że przechodzę z klasy do klasy. Jednak moje oceny nie są niczyim zmartwieniem. Nikt w domu nie kontroluje tego, jak i czy się uczę. Nie wnika nawet w to, gdzie wychodzę albo dokąd idę po szkole. Mają swoje problemy, dlatego nie chcą tworzyć nowych, które miałyby dotyczyć mnie.

Krzyki gwałtownie ucichły. Schemat został przerwany. Wstaję niespiesznie z łóżka. Nagle słyszę stek przekleństw, które wydobywają się z ust mojego ojczyma, jest zdenerwowany, ale nie tak jak zwykle, wtedy raczej rzadko klnie. Nie zawracam sobie głowy poranną toaletą, tylko wkładam szybko ubrania i schodzę natychmiast na dół. To coś nowego. Widzę walające się dookoła ostre przedmioty. Odłamki szkła ze szklanek, talerzy, nawet potłuczone lustro i noże, chyba wszystkie, które były w szufladzie, leżą porozrzucane po podłodze. Oprócz jednego. Ten jeden, ostatni nóż trzyma Simon. Coś jest z nim nie tak. On cały dygocze, spoglądam na ostrze, jest czymś poplamione, czymś czerwonym, zdaję sobie sprawę, że jest to krew. Zaczynam nerwowo się rozglądać. Widzę, leży przy kanapie.

Nie rusza się. Podchodzę powoli i w tym samym tempie odwracam jej ciało. Jej niebieska koszula nocna powyżej brzucha przybiera coraz szybciej ciemniejszy, bardziej bordowy kolor. Ledwo porusza się klatka piersiowa. W tej samej chwili czyjeś silne ręce złapały mnie i odciągnęły do tyłu, ale ja patrzyłam tylko w jej kierunku. Nagle pojawiła się pomoc, ratownicy, szybko podbiegli i zaczęli się zajmować mamą. Kto po nich zadzwonił? Ile minęło czasu? Ocknęłam się dopiero, kiedy wyszli z domu, czyjeś ręce wciąż mnie trzymały. Spojrzałam w górę. To był Peter, nasz sąsiad. Simona nigdzie nie było. Drzwi się zatrzasnęły, a ja upadłam na kolana. Pierwszy raz od 10 lat pozwoliłam sobie na płacz. Łzy płynęły mi jak u małej dziewczynki.

Dwa lata później

Przez dwa lata śniło mi się to samo. Te sny nie były złe, ale nie były już też dobre. Dawały do myślenia, trochę przerażały. Biała sala, równie bezbarwne łóżko i pozbawiona koloru postać. Nie wiem, kto to był. Stał tam. Chociaż nie miał twarzy, oczu, to jestem pewna, że patrzył prosto na mnie, a może przenikał w głąb mojego ciała? Nie wiem. Jednak zawsze po chwili, kiedy próbowałam się zbliżyć, działo się to samo. Nagle tą białą postać zaczynała zalewać czerwień, tak intensywna, że gdyby działo się to w rzeczywistości, musiałabym odwrócić wzrok. Potem budziłam się niespokojna, bez krzyku, ale jednak roztrzęsiona.

Dzisiaj mijają dwa lata. Właśnie wtedy moja matka przestała walczyć. Poddała się i zostawiła mnie samą. Simon, sprawca, kiedy wybiegł z domu, pobiegł na most. Skoczył, zabrał mi jedynego członka rodziny i nawet nie był w stanie przeprosić, po prostu uciekł. Od tego czasu opieka społeczna ma nade mną pieczę. Nikt mnie nie przygarnął. Normalne, przecież byłam już niemalże dorosła, a rodziny nie miałam. Jeszcze trzy miesiące i będą musieli się mnie pozbyć. Osiągnę pełnoletność. Zacznę żyć na własny rachunek, chociaż nie wiem, czy uda mi się skończyć szkołę. Nie wspomniałam? Ostatnio nie idzie mi najlepiej. Psycholodzy twierdzą, że wciąż nie uporałam się ze „stratą", ale oni nic nie wiedzą. Przez rok nauczyciele w to wierzyli. Miałam łatwiej w szkole, ale po pierwszej rocznicy wszystko wróciło do normy. No prawie. Moje stopnie nie były już przeciętne tylko złe. Zwyczajnie nie widziałam sensu w uczeniu się i dostawaniu dobrych ocen.

Od czasu, kiedy zaczął nawiedzać mnie ten sen, nic więcej się nie liczyło. Próbowałam na różne sposoby zobrazować to, co mi się śni. Malowałam, rysowałam, a nawet pisałam, ale nic nie było w stanie idealnie oddać tego, co widzę, a raczej widziałam. No właśnie, dzisiaj nic mi się nie śniło. Pierwszy raz, odkąd pamiętam. Zawsze, gdy zapadałam w sen, pojawiały się różne obrazy, od dwóch lat jeden i ten sam, ale to zawsze było coś. Może to i lepiej? Wreszcie będę mogła się skupić na czymś innym, niż na wytworach mojej wyobraźni.

Wstałam, umyłam się, ubrałam. Dzisiaj nie idę do szkoły. Muszę ją odwiedzić. Kiedy wychodziłam, zbyłam Gertę, moją opiekunkę, niemrawym pożegnaniem. Naprawdę powiedziałam „Żegnaj", nie „Do widzenia" czy „Do zobaczenia" ani nawet, że wrócę na obiad, tylko „Żegnaj". Sama nie wiem dlaczego, po prostu to słowo wydobyło się z moich ust. Wsiadłam do autobusu. Było mało ludzi, ze względu na godzinę. Większość już pojechała

do pracy czy do szkoły. Zatrzymaliśmy się, a ja wysiadłam, musiałam przejść jeszcze parę metrów, aż wreszcie stanęłam przed ogromną, kutą bramą. Drogę znałam już na pamięć, pewnie mogłabym nawet dojść do celu z zamkniętymi oczami.

Nagrobek był zwyczajny, nie wyróżniał się na tle innych. Wypisane imię i nazwisko, data urodzenia i śmierci. Po prostu grób z jednym cytatem *„Jeśli bardzo się czegoś pragnie, zawsze jest nadzieja”.* Moja mama uwielbiała Quicka za tę książkę. Była maniaczką optymizmu i nadziei, cóż za przypadek, że nazwała córkę Hope[1]. Teraz, kiedy patrzę na ten kawałek kamienia, nie czuję nic. Płakałam tylko wtedy, kiedy uzmysłowiłam sobie, co się stało. Nie czułam żalu czy smutku, tylko pustkę. Wciąż czuję. Nie miałyśmy dobrego kontaktu. Nawet nie znałyśmy się za dobrze. Była moją mamą, dlatego wydaje mi się, że powinnam tęsknić. Przychodzę tutaj, bo wydaje mi się, że tak trzeba, nie dlatego, że chcę, ale raczej z obowiązku.

Posiedziałam tu godzinę, a potem skierowałam się ku bramie. Już miałam iść w stronę przystanku autobusowego, kiedy po drugiej stronie zauważyłam białą postać. Zmarszczyłam brwi, bo to przecież nie możliwe, a jednak. Akurat dzisiaj przestałam śnić i teraz mam zwidy, które nawiedzają mnie na jawie. Widzę tę osobę, przecieram oczy, ale ona wciąż stoi po drugiej stronie ulicy. Nie ma twarzy, ale znów czuję to samo, jakby wzrok tej postaci spoczywał na mnie. Nagle zjawa ruszyła, chociaż nie wiem, czy to określenie jest dobre. Wraz ze zmniejszającą się odległością, która nas dzieliła, zaczęła pojawiać się również twarz, a wraz z nią czerwień zalewająca całe ciało. Czy nareszcie dowiem się kto od dwóch lat nie pozwolił mi na spokojny sen? Nie odrywałam oczu od osoby. Była już w połowie drogi, kiedy wyraźnie to zobaczyłam, a raczej ją. Te oczy, zielone jak najpiękniejsze szmaragdy, blade usta i zaróżowione policzki, włosy ciemne, niemal czarne. Potrzebowałam silnego spoliczkowania, ale nie mogłam wyprzeć tego, co widziałam. To moja mama kroczyła właśnie przez ulicę w moją stronę. Gwałtownie złapała się za brzuch. Dopiero teraz przypomniałam sobie o rosnącej plamie, która pojawiła się u niej powyżej pasa. Usłyszałam jakiś hałas. To samochód, jechał prosto na nią. Nie myślałam, tylko działałam. Skoczyłam na jezdnię, aby uchronić mamę przed wypadkiem, kiedy już prawie ją złapałam zniknęła, rozpłynęła się, wyparowała, nie mam pojęcia, co się stało. Byłam w szoku, zaczęło wirować mi w głowie, a zaraz potem poczułam okropny ból, który przenikał w każdy zakamarek mojego ciała. Samochód, przed którym chciałam uratować mamę, marę, złudzenie, wjechał we mnie nawet nie zwalniając, a ja tylko myślałam o tym, że nie zdołałam ocalić mamy.

[1] Hope (z ang.) - nadzieja

Nie nawiązałam z nią relacji, nie powiedziałam, że ją kocham. W tym momencie pragnęłam tylko, żeby ona znów tutaj była, jednak nie jako widz, oglądający jak dziecko rośnie, radzi sobie i wychowuje się samo. Tak bardzo chciałam, żeby stała się prawdziwą matką, a ja córką, abyśmy nareszcie stały się rodziną.

Żegnaj

Otwieram oczy, czuję radość, wiem, że się uśmiecham. Dlaczego? Nie chcę zabrzmieć jak w tych wszystkich głupawych książkach i filmach, ale jeżeli rzeczywiście tak to wygląda? Moment, w którym rozstajemy się z ziemią? Obudziły mnie przenikające przez okna promienie słoneczne, było to bardzo przyjemne uczucie, które nagle i brutalnie zostało przerwane przez krzyki. Znałam te głosy. Teraz, kiedy się rozbudziłam, rozpoznałam również pomieszczenie. To jest mój pokój, a raczej był. Zmarszczyłam brwi, a zaraz potem zaczęłam otwierać jednocześnie oczy i usta. Poczułam rosnącą gulę w gardle. Przecież takie rzeczy się nie dzieją. A jeżeli to jest sen? A może tak wygląda niebo? Nie wierzę w takie bzdury jak deja vu, nigdy mi się nic takiego nie przytrafiło. Jednak niewiele myśląc, odrzuciłam pościel. Krzyki wciąż brzmiały, szybko wybiegłam z pokoju, nie przejmując się swoim ubiorem i w mgnieniu oka znalazłam się na parterze.

Obok mojej głowy przeleciała właśnie szklanka i z trzaskiem rozbiła się o ścianę. Zauważyłam Simona, który ciskał w kogoś morderczym wzrokiem, kiedy podążyłam w tym samym kierunku ujrzałam ją, mama stała trochę przerażona, ale zarazem zła, to na nią patrzył ojczym. Znowu przeniosłam wzrok na niego. Wszystko działo się jak w zwolnionym tempie. Coś zabłyszczało w jego dłoni. Nóż, ten, którym moja mama została śmiertelnie okaleczona. Simon zbliżał się do niej w niebezpiecznie szybkim tempie. Wydawało mi się, że oglądam jakiś chory film, poczułam obrzydzenie, któremu towarzyszył strach. To ta sama scena, to samo miejsce, wiem, jakie będą skutki. Chcę odwrócić wzrok, ale zamiast tego moje nogi kierują mnie w przód. Po drodze ręce łapią leżący na podłodze odłamek szkła, jestem bliżej niego niż on mamy. Simon wykonuje zamach, ja też. Okazuje się, że jestem szybsza, wbijam ostrą krawędź w jego bok. Upada na ziemię, a ja słyszę krzyk mamy.

Pamiętam, jak ostatnio krew rozlewała się po podłodze, tylko tym razem wydobywa się ona z jego rany. To nie moja mama leży i umiera, tylko Simon. Spoglądam na mamę, ma łzy w oczach, ale to nie nad nim płacze, tylko nade mną. Dlaczego? Los dał mi drugą szansę. Uratowałam ją. Teraz my mamy drugą szansę, stworzymy rodzinę, więc o co chodzi? Też w to nie wierzy? Ja sama jestem w szoku, ale przecież jeśli czegoś się pragnie, to jest nadzieja, czy nie tak to szło? Słyszę, jak powtarza, że mnie kocha, nie słyszałam tego od wielu lat. Uśmiecham się i odpowiadam jej tym samym, ale ona wciąż płacze, dlatego mówię jej, że nareszcie wszystko będzie dobrze. Ułożymy sobie życie i zaczniemy wszystko od nowa razem, bo dostałyśmy prezent od losu, nadzieję na lepsze jutro. Powtarzam jej,

że chcę, by była wreszcie moją matką, ale w odpowiedzi mówi mi, że to za wcześnie. Jak to? Czekałam na to całe życie, to nie jest za wcześnie.

Ona wciąż płacze, dopiero teraz zauważyłam, że trzyma mnie w ramionach. Patrzę na nią, na jej smutne spojrzenie, którym mnie ogarnia. O co chodzi? Dlaczego nie chce, żebyśmy w końcu były szczęśliwe? Dociera do mnie, że sama widzę swoje ciało w objęciach matki, jakbym była widzem. Tylko, gdzie się podział nasz dom? Jesteśmy teraz na ulicy. Czerwone światła mieszają się z niebieskimi. Rozglądam się szybko. Radiowóz, karetka. Te samochody i ludzie przesłaniają okolice. Nagle zauważam ogromną bramę. Cmentarz. Nie cofnęłam się w czasie. Samochód mnie potrącił. Mama nie chce zacząć od nowa, bo to oznacza, że będę musiała z nią odejść, ale ja widzę siebie. Leżę, dookoła pełno krwi, spanikowany kierowca samochodu. Mama wciąż mnie tuli, a w jej ramionach jest mi niezwykle dobrze. Nagle wokół mnie znalazło się pełno lekarzy, ale gdzie jest mama? Zniknęła, zostawiła mnie znowu samą? Było mi dobrze i odeszła? Zaczynają docierać do mnie głosy lekarzy, ale ja ją zauważam. Stoi za bramą, patrzy na mnie i wymawia bezgłośnie słowa „to nie jest czas na ciebie". Ona płacze, bo wie. Wie, że tutaj mnie nic nie trzyma, a to, czego bardzo pragnę, to wcale nie kolejne chwile na ziemi, które przepełnione są rutyną, monotonią i bezcelowym życiem z dnia na dzień. Jako jedyna w klasie nie mam żadnych planów, pomysłów, perspektyw, znajomych czy rodziny.

Teraz uzmysławiam sobie, że słowo „Żegnaj" nie zostało tak po prostu przeze mnie wypowiedziane. Dopiero w tej chwili dociera do mnie, że wiedziałam, co się stanie. Tak mamo, to nie jest czas na mnie, tylko na nas. Jedyne, co później widzę to białą postać, która znowu się do mnie zbliża, jednak teraz żadna czerwień nie plami już jej ciała, a kiedy wyciąga do mnie rękę, jestem na tyle pewna, a może szalona, ponieważ za nią chwytam, wiem, że jestem gotowa. To jest czas na mnie i na mamę. Nadzieja na to, że nareszcie będę mogła poczuć się prawdziwie szczęśliwa.